

Fot archiwum

RkaweckiStan2

Bronisław Kawęcki (stoi) na zjeździe „Solidarności” w 1981 roku. Poniżej od prawej ksiądz Henryk Jankowski, Bogdan Borusewicz i Lech Wałęsa

RkaweckiStan

Syna nazwaliśmy imieniem Lech, od Wałęsy – mówi Bronisław Kawęcki

Prezentacja

Bronisław Kawęcki ma 56 lat. Mieszka w Radomiu i Warszawie. Przed wprowadzeniem stanu wojennego był etatowym pracownikiem Zarządu Regionu ta radomskiej „Solidarności”. W ośrodkach internowań spędził 8 miesięcy, potem wielokrotnie zatrzymywano go na 48 godzin. W latach 80-tych obecny na wszystkich procesach wytaczanych za manifestowanie pod pomnikiem Czerwca 1976. Przewodniczący komitetu budowy tego pomnika. Konsultant filmów „Miasto z wyrokiem i „Cicho ciało społecznie w grobie”, uczestniczył także z realizacji filmu o Jacku Jerzu. Obecnie stara się o rentę.

Ramka

140 osób z regionu radomskiego zostało internowanych w stanie wojennym. Najpierw wiosną szykowano się do zatrzymania około 250 osób, ostatecznie liczba ta później zmalała. Pierwsze zatrzymania miały miejsce w nocy z 12 na 13 grudnia 1981 roku. Ostatnią osobą z internowanych, która opuściła zakład karny był pierwszy przewodniczący radomskiej „Solidarności” Andrzej Sobieraj. Nastąpiło to 23 grudnia 1982 roku.

Ramka1

Stan wojenny został wprowadzony 13 grudnia 1981 roku na terenie całej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej na mocy uchwały Rady Państwa z dnia 12 grudnia 1981 roku na polecenie Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego (pozakonstytucyjnego tymczasowego organu władzy, faktycznie nadrzędnego wobec konstytucyjnych władz państwowych. Został zawieszony 31 grudnia 1982 roku, a zniesiono go 22 lipca 1983 roku.

13 grudnia mija 28 rocznica wprowadzenia stanu wojennego. Swoimi wspomnieniami dzieli się z nami jeden z internowanych, Bronisław Kawęcki

Moc truchłała

12 grudnia 1981 roku o godzinie 12 dostałem telefon od mojej żony.

- Przyjechali prokuratorzy z policją, pytali się o ciebie. Nie otworzyłam im drzwi – mówiła mi.

Wcześniej otrzymałem informacje ze Wsoli, gdzie byłem wychowawcą, że ewakuowane są upośledzone dzieci i tam będzie szpital. O godzinie 19 zerwały się wszystkie faksy, nie mogliśmy z nich korzystać. Wyjątkiem były faksy na kolei. Ich nie ruszano, ponieważ były w nomenklaturze wojskowej. Z tego faksu nadałem informacje o Wsoli do Krajowej Komisji „Solidarności”. Do domu wróciłem późno. Mieszkałem w bloku na ulicy Kosowskiej. W sąsiednim bloku większość mieszkańców stanowili milicjanci i esbecy. Moja klatka schodowa znajdowała się ze strony tamtego bloku i wyjście z niej było na ich widoku, nie było więc problemu ze śledzeniem mnie. O godzinie 23 do domu powróciła żona. Była wtedy w drugim miesiącu ciąży. Zmęczona położyła się, ja jeszcze coś pisałem. Myślałem nawet o powrocie do Zarządu Regionu „Solidarności”, ale żona powiedziała: „nie zostawiaj mnie”.

O godzinie 1.30 rozległo się ostre pukanie do drzwi.

- Otwierać, otwierać !!!”. Zgodnie z wyuczonymi wcześniej instrukcjami odpowiedziałem: „przyjdźcie o szóstej”.

- Otwieraj ch...u, bo ci wyj...my drzwi!!!”

Wiedziałem, że to nie są żarty, miałem też świadomość, że żona jest w ciąży... Otworzyłem. Wpadli. Było ich czterech. Trzech po cywilnemu, jeden umundurowany w stopniu kapitana.

- Bronisław Kawęcki?

- Tak

- Został ogłoszony stan wojenny. Pan służył w Marynarce Wojennej to pan wie, co to znaczy...

Jeden wpadł do kuchni, drugi do łazienki, rozglądali się. Mieli dwa, długie, nagwintowane z dwóch stron metalowe sworznie. Widocznie zabrakło im już łomów. Mundurowy otworzył przy mnie szara kopertę. Odczytał moje imię i nazwisko, zacytował dekret o wprowadzeniu stanu wojennego, zapytał, czy zrozumiałem i czy będę im utrudniać.

- Ja tylko wykonuję rozkazy – dodał.

Powiedziałem kapitanowi, że chcę tylko zabrać szczoteczkę i pastę do zębów i będę gotowy. I że mam jeszcze jedną prośbę:

- Chciałbym pożegnać się z żoną, ale na osobności.

Zastanowił się chwilę, po czym usłyszałem: „jak pan pali, to oprócz szczoteczki niech pan weźmie też papierosy. Z żoną może się pan pożegnać”. Otworzyłem drzwi do pokoju, gdzie była, tamci chcieli ze mną wejść do środka, ale kapitan odsunął ich ręką. Zamknąłem drzwi środka, żonie powiedziałem kilka zdań: „Ala, nie martw się. Powiedz naszemu dziecku, co chcieliśmy zrobić dla Ojczyzny. Kocham cię...”

Myślałem, że zjedziemy windą, bo mieszkałem na szóstym piętrze, ale ich instrukcja tego zabraniała. Schodziliśmy i co drugie piętro dołączyła do nas kolejna cywilna osoba. Pomyślałem; „tyle fatygi?” Wsiadłem jako pierwszy. W aucie zameldowali przez krótkofalówkę:

- Mamy Kawęckiego, co robić?

- Jedź do przodu, za chwilę powiemy.

Kapitan wcześniej mówił mi, że mam być zawieziony na przesłuchanie do prokuratury wojewódzkiej, ale gdy byliśmy na ulicy Wałowej usłyszałem: „jedźcie prosto do więzienia”.

TRANSPORT

W więzieniu otwierają się wielkie drzwi, błyskają reflektory, słysząc szczekające psy. Mróz jak diabli. Prowadzą mnie małym korytarzem, widzę Ewę Soból w kożuchu. Potem patrzę – Janek Rejczak w białych kałesonach. Zacząłem się śmiać, bo Janek zawsze chodził w krawacie a tu, pomimo mrozu taki ubiór! Opodał widzę skutego tego kajdankami mecenasa Grajewskiego, doradcę „Solidarności”.

W celi spotkałem kilka kolejnych znanych mi dobrze osób. Warunki więzienia w Radomiu były straszne, smród niesamowity. Jeden wynoszony kibel na kilkanaście osób!

Około godziny 3 nad ranem padła komenda: ”wychodzić, wychodzić!. Kajdanki, po dwóch!”.

To były kajdanki samo zaciskające się, Jeśli ktoś niefortunnie ruszył, od razu czuł to na ręce.

Wsadzili nas razem do jednego, wielkiego samochodu. Ktoś mówi: jedziemy na białe niedźwiedzie, jedziemy na Sybir..”

Zdzichu Podkowiński wpadł na pomysł, byśmy się bujali. Efektem było to, że skutemu razem z nim Mundkowi Chojnackiemu zacisnęły się kajdanki, zaczęła mu drętwieć i sinieć ręka. Krzyczeliśmy, ale siedzący w tak zwanej „przedpokojówce” konwojenci uzbrojeni w karabiny w ogóle nie reagowali. Byli jak ściana. Wysiadamy, okazuje się, że jesteśmy w Kielcach. Tylko mecenas trzymając się kart mówił: „Komuna upadła”. Ja na to,

-Chyba mecenas cię pogięło!

- Jeżeli komuna zamyka 10-milionowy związek, to chyba upada – wytłumaczył mi.

Tak naprawdę sens tego, co powiedział zrozumiałem 4 czerwca 1989 roku, gdy komuna rzeczywiście upadła.

W Kielcach cała procedura związana z przyjęciem nas do areszt odbywała się błyskawicznie. Pytano nas o stan zdrowia, przebyte choroby, sporządzano protokoły. Cele były zupełnie inne niż w Radomiu. Schludne, czteroosobowe. Ale za kilka dni, dobrze już znaną grupą znowu nas przewieziono do Radomia.

WIGILIA

24 grudnia, w wigilię Jezuici dostali zgodę na wyspowiadanie nas. Zdzichu Podkowiński zaczął jednak krzyczeć: „prowokacja, to są przebierańcy”.

Wtedy ojciec prowincjał wydał rozgrzeszenie na wypadek ciężkiej sytuacji i śmierci. Stał na korytarzu i wszystkie cele pobłogosławił. Tego dnia wydała się tajemnica siedzącego z nami Jacka Jerza. Jeszcze w Kielcach nie pozwalał nam wyrzucać zdejmowanego z żółtego sera wosku. Gromadził go, teraz zdjął z buta sznurówkę i zrobił z niej i z wosku świecę. O godzinie 18 niespodziewanie otworzyły się drzwi celi i ktoś wrzucił nam do środka zieloną gałązkę, wtedy Jacek zapalił świecę. Otworzył też okno i zaśpiewaliśmy „Bóg się rodzi, moc truchleje. Za naszym przykładem poszli inni, też otworzyli okna i zaczęli śpiewać. Klawisze walili w drzwi, próbowali nas uciszyć. Najbardziej raziły ich słowa: „moc truchleje”, ale nie mogli nas powstrzymać. Mieliśmy choinkę, mieliśmy świeczkę. Nie mieliśmy tylko opłatka.

- To nic, podzielimy się chlebem – zaproponował Jacek

I składaliśmy sobie życzenia dzieląc się chlebem.

W tę Wigilię wypuszczono na wolność siedzących z nami Zbigniewa Makucha, przewodniczącego „Solidarności” w Elektrowni Kozienice i Poldka Gierka. Wcześniej ich wezwano na rozmowy. Makuch po powrocie mówił, że nakłaniano go, by przemówił do protestujących pracowników swojego zakładu, by przerwali strajk, bo ich opór grozi przerwaniem dostaw prądu. Z kolei Poldek przekonywał, że postawiono mu warunek: zostanie wypuszczony na wolność, jeśli zdejmie swoje nazwisko z winiety gazety „Wolny Robotnik”. Zareagował Jacek Jerz:

- Co za głupoty gadasz! Przecież twojego nazwiska nie ma na winiecie „Wolego Robotnika” już od dawna.

- Ale tak powiedzieli.. – upierał się Poldek Gierek

Za 15 minut już ich obu w celi nie było. Teraz, jak wynika z dokumentów Instytutu Pamięci Narodowej wiadomo, obaj byli agentami.

SZPITAL

Na drugi dzień po Wigilii zaczął mi puchnąć brzuch, z którym już dawniej miałem duże kłopoty. Zdzichu Podowiński zaczął walić w drzwi. Otworzyli. Zszedłem na dół, do punktu sanitarnego. Wezwano karetkę pogotowia, przyjechał młody lekarz. Zbadał mnie, orzekł: „jest zagrożenie życie, natychmiast na stół operacyjny”. Ale obecny przy tym klawisz najpierw zapytał go, czy skończył już swoje obowiązki a potem zarządził: „to wyp...laj”.

Lekarz nie przestraszył się, oświadczył, że musi mi przynajmniej założyć cewnik. Gdy już to zrobił zażądał natychmiastowego przewiezienia mnie do szpitala. Musiał wyjść, godzinę później skuto mi ręce a w karetce dodatkowo przykuto moją nogę. Nie wiedziałem, gdzie mnie wiozą. Na miejscu okazało się, że jestem w więziennym szpitalu Łodzi. Trafiłem do dwuosobowej celi. Następnego dnia rano skierowano mnie na prześwietlenie płuc. Do pomieszczenia, gdzie wykonywano zdjęcia chciało wejść ze mną dwóch klawiszy. Starszy człowiek, który robi zdjęcia nie pozwolił im na to i kazał im czekać na korytarzu. Powiedział, że zaraz po prześwietleniu wyjdę. Walili do drzwi, on mówił mi, że jest żołnierzem Armii Krajowej a w szpitalnym więzieniu pracuje na pół etatu. I żebym następnego dnia zapisał się do okulisty. Choć miałem dużo wątpliwości, to zapisałem się. Lekarka, która nie przyjęła wyprosiła konwojenta z gabinetu, spojrzała w moje oczy, dała mi krople i poleciła, bym zapuszczał je, albo dyskretnie wylewał po parę kropli. A potem zaproponowała ciastka i kawę albo herbatę.

- Zapisuję, że ma pan ciężkie zapalenie spojówek i proszę się zapisywać się do mnie co dwa dni

No i zapisywałem się, zając się w czasie wizyt ciastkami. Kiedyś też do naszej celi ktoś wrzucił karton papierosów. I ja i mój kolega z celi nie paliliśmy. On twierdził, że to prowokacja, ja byłem innego zdania. „Kajfusowi”, który przynosił nam jedzeni dałem papierosy w zamian za to, że będę prowadzony do kąpieli nie raz na tydzień, a raz na dwa dni. Dotrzymał słowa.

NIEUFNOŚĆ

Po miesiącu zostałem znowu przetransportowany do Kielc. Ludzie siedzący już w mojej celi nie znając mnie przyjęli mnie wrogo myśląc, że jestem nasłanym kapusiem. Zachowywali przy mnie dużą ostrożność, co bardziej mi doskwierało, niż więzienne warunki. Stopniowo jednak lody zaczęły się przełamywać. Braliśmy udział we mszach, które dzięki pieśniom przekształcały się w małe manifestacje. Co ciekawe, księża i biskupi mieli wewnątrz w sutannach doszyte przez zakonnice długie kieszenie. Spowiadając nas wrzucali do nich nasze listy do rodzin. Ale te listy nie były dawane rodzinom. Rodziny czytały je w obecności biskupa a później zostawiały je u niego. Władze coś niecoś na ten temat wiedziały, bo ich rzecznik Urban skomentował to na konferencji prasowej słowami „czarni zamienili się w listonoszy”.

Tymczasem żonie opóźniał się poród, dostała zgodę na dodatkowe widzenie się ze mną. Przyjechała na nie razem ze swoim bratem. Wcześniej wezwano mnie na rozmowę i zapytano, czy interesuje mnie los żony i dziecka a jeśli tak, to czeka już na mnie dziennikarz, który powołując się na moje wypowiedzi opisze jak mi się siedzi i jak dobre są tu warunki. Oczywiście odmówiłem. Żona była w więzieniu o godzinie 8, widzenie mieliśmy o 16, trwało pół godziny. Przedzierały nas dwa biurka. Z jednego boku siedział brat żony, z drugiej dwóch esbeków. O czym można było rozmawiać w takich warunkach?. O niczym. Ale żona położyła moją rękę na swoim brzuchu, poczułem ruchy dziecka. To wystarczyło.

6 lipca zaprowadzono mnie na rozmowę z wysokiej rangi esbekiem. Oświadczył mi, że w związku z prośbą biskupa

Edwarda Materskiego i moją sytuacją rodzinną tego dnia zostaje wypuszczony na wolność.

- Liczymy na to, że nie podejmie pan żadnej działalności opozycyjnej – dodał.

NARODZINY LECHA

Późnym wieczorem dojechałem pociągiem wraz ze zwolnionym również kolegą do Radomia i zgodnie z zawartą wcześniej umową poszliśmy prosto do biskupa Materskiego. Przyjął nas, zaproponował poczęstunek a potem poradził, byśmy szybki poszli do swoich rodzin.

14 lipca urodził mi się syn, nazwaliśmy go Lech, jak Wałęsa. Poród odbierał kolega – lekarz, z którym siedziałem wcześniej w jednej celi. Było to o godzinie 20.05. O godzinie szóstej znowu zaaresztowali mnie na 48 godzin. Takie sytuacje miałem potem w swoim życiu jeszcze wielokrotnie.

Piotr KUTKOWSKI

Echo Dnia